

POLOWANIE NA JEDNOROŻCA

Bazylikę Świętego Piotra przebudowywano wiele razy. Daleka była droga od wizji Barmantego, przez projekty Rafała, aż do Michała Anioła, który na szkicach tego pierwszego oparł ostateczną wersję świątyni. Tę, znaną nam dzisiaj. Górująca nad wiecznym miastem Bazylika nie tylko głosiła wśród pielgrzymów chwałę Pana, ale także powalała na kolana swoim pięknem i majestatem tych, którym wydawało się, że w Boga nigdy nie uwierzą.

Podobne wrażenie odnosił pielgrzym, spoglądający na symbolizujące cztery najważniejsze ewangelie, acz wciąż nie ukończone, strzeliste wieże la Sagrada Familia. Katedra ta jest tak odmienna od wyobrażenia klasycznej świątyni, że człowiek wkraczając w jej mury czuje się, jakby wstępował do zupełnie innego świata. Patrząc na niesamowite, obce wręcz kształty budowli, nawet człowiek dobrze obeznany ze sztuką architektury musi przyznać, że jego wiedza jest niczym, w porównaniu z geniuszem Gaudiego.

Nie brak na świecie mistycznych budowli sakralnych, od wicków urzekających pięknem, i nie w tym dziwnego: budowniczowie katedr czynili wszystko co w ich mocy, by dzieło było godne Boga. Mając w pamięci wszystkie te cuda trudno zrozumieć, czym kierowali się projektanci Domu Bożego stojącego w samym sercu Białegostoku. Betonowa bryła, przypominająca bardziej hipermarketowy parking aniżeli kościół, niewiele miała w sobie gotyckiej wyniosłości. Nie była też wzorem stylu modernistycznego, a już z pewnością nie wywierała należytego wrażenia na wiernych. Zwłaszcza że całkiem niedaleko, gdyby tylko zechcieli się przemóc, mogli znaleźć zacisze do modłów w jednej z perel europejskiej architektury sakralnej. Tyle że budynek zdobyły prawosławne krzyże.

Wnętrze też było surowe, białe jak oblicze śmierci, chłodne jak jej oddech, mimo że na dworze panował właśnie trudny do zniesienia upał. Drzwi świątyni zamknęły się za wchodzącym z głuchym łomotem, lecz nikt z obecnych nie odwrócił głowy. Przebrzmiały już ostatnie akordy organów, za moment miało rozpocząć się kazanie; kapłan wspinał się na niewysoką ambonę.

- Jedno jest królestwo w niebiesiach... - powiedział ubrany od stóp do głów na biało mężczyzna o długich siwych włosach i przeraźliwie szczupłej twarzy, wchodząc między ostatnie rzędy pustych ławek. - Czyż nie tak mówi Biblia?

Nieliczni wierni jak na komendę odwrócili głowy ku idącemu nawą przybyszowi. Otwierający Świętą Księgę kapłan zamarł z uniesioną do błogosławieństwa ręką, patrząc z nieskrywanym zaskoczeniem na zbliżającą się do ambony postać. W kompletnej ciszy, jaka

zapanowała, każde zderzenie podkutych obcasów z alabastrem posadzki brzmiało w uszach zgromadzonych niczym uderzenie kowalskiego młota.

- Dlaczego zatem, miast wspólnie głosić chwałę Zbawiciela, rozłupujecie wciąż Królestwo Chrystusowe na kolejne, niewiele różniące się od siebie odłamki? - zapytał przybysz, a głos miał mocny, donośny, choć zarazem bardzo spokojny.

Zgromadzeni w świątyni widzieli go teraz lepiej. Orli, wydamy nos. Zrytą zmarszczkami wychudłą twarz. Pokryte dwudniowym, ale rzadkim zarostem zapadłe policzki. I oczy... Niesamowite, lśniące i tak niebieskie jak królestwo, o którym mówił. Mężczyzna zatrzymał się przy pierwszych ławach. Przykleknął ostrożnie na jedno kolano i przeżegnał się zamasyście, pochylając głęboko głowę.

- Dla srebrników to czynicie, jak Judasz? - zadał kolejne pytanie, powstając z ironicznym uśmiechem na szerokich ustach. - A może dla chwili złudnej władzy?

- O kim... mowa? - wyjąkał zaskoczony proboszcz. W jego głosie dało się wyczuć niepewność i zbyt twardy jak na te strony akcent.

- O ludziach, którzy przybijają do wrót świątyń karteluski ze swoimi prawami - odparł spokojnie nieznajomy. - O przepelnionych grzechem pychy sługach Bożych buntujących się przeciw władzy innych, nie mniej godnych pogardy kapłanów. O cheiwych wyznawcach bożka mamony, opływających w luksusy pośrodku morza biedy. O fałszywych autorytetach moralnych wyprowadzających swoimi postępkami wiernych ze świątyń. O tych wszystkich, którzy zwą siebie protestantami, prawosławnymi, katolikami, choć tak naprawdę, jako dzieci tego samego Boga, zwać się powinni jedynie chrześcijanami.

Mówiąc to nie spojrzał nawet na ambonę, przyglądał się za to uważnie siedzącym wokół niego ludziom. Wierni bali się spojrzeć mu prosto w twarz, ale gdy odwracał wzrok, niepokojącego starca śledziły dziesiątki par oczu. Czuli te spojrzenia na plecach. Pałace, pełne lęku, ale jeszcze nie nienawistne. Na moment zapadła absolutna cisza.

- Dlaczego przeszkadza pan w odprawianiu nabożeństwa? - tym razem pytanie z ambony padło znacznie ostrzejszym tonem. - Za kogo się pan uważa...?

Wystarczyło, że nieznajomy uniósł palec, a znów zapanowała cisza. Ktoś zakasłał w jednej z ostatnich ław po prawej. Ktoś inny natychmiast go uciszył przeciągłym syknięciem.

- Wiesz, kim jestem. Wy też wiecie... - mężczyzna zatoczył koło, rozłożonymi rękami wskazując na ławy - choć nie chcecie w to jeszcze uwierzyć.

- Błuznisz! - krzyknął ksiądz opierając się dłońmi o rzeźbioną balustradę. Otwarta Biblia popchnięta jego wydatnym brzuchem zsunęła się z podpory i szeleszcząc kartami poleciała wprost w wyciągnięte dłonie mężczyzny w bieli.

-Ja bluźnię? - roześmiał się przybysz i delikatnie wyprostował zagięte strony.

- Nie masz prawa... - zaczął proboszcz, lecz nie dokończył.

Zatrzaśnięta z hukiem Święta Księga nie tyle zagłuszyła jego słowa, co weisnęła mu je z powrotem do krtani.

Głos przybysza wydawał się teraz niemal szeptem, ale nie było w kościele osoby, która by nie drgnęła, gdy rozległy się wypowiedziane z wyraźną pogardą słowa: - A jakie t y masz prawo do bycia pasterzem tej trzody, po tym, co stało się w Krzydlicach, Morağu, Piasecznie, Stalowej Woli? Czy twoje owieczki wiedzą, dlaczego opuszczałeś tamte parafie nocą, po kryjomu, niezadko w asyście' ochrony...?

Nalana twarz kapłana spurpurowiała, zsiniała niemal, oczy wyrażały najpierw bezgraniczne przerażenie, ale po chwili górę wzięła nienawiść, kąciki ust zadrgały nerwowo. Mierzyli się wzrokiem. Kapłan i nieznajomy.

- Ty urbanowa, komunistyczna gnido... - wysyczał wreszcie ksiądz, a jego twarz pojaśniała. - Tak, już wszystko rozumiem. To on cię naslał! Najpierw kłamliwie opisał, a teraz...

- Ten, który mnie przysyła - odpowiedział spokojnie mężczyzna w bieli, przyciskając Biblię do piersi - nie ma nic wspólnego z wymienionym przez ciebie człowiekiem.

- Tak, tak... Już ja doskonale wiem, skąd przychodzisz i kto ci płaci! - Proboszcz tryumfalnie wskazał palcem na smutno się uśmiechającego mężczyznę. - Ale mnie tak łatwo nie przestraszysz, komuchu. Solą w oku wam stoimy, bo ludzi nie dajemy oglupiać i ograbiać w biały dzień!

- A propos ograbiania - przerwał mu bezceremonialnie człowiek w bieli. - Ta starowinka, którą namaściłeś przedwczoraj, miała całkiem sporo oszczędności w szafie. Chyba jeszcze nie zdążyłeś ich wpłacić na to konto w City Banku, z którego finansujesz...

- Klamca! Oszczerca! - wydarł się nagle kapłan. Spojrzał błagalnie na swoich parafian rozkładając ręce w papieskim geście. - A wy co tak siedzicie i patrzycie, kiedy waszego proboszcza prowokatorzy poniewierają?

Przybysz spojrzal z rozbawieniem na ławki, w których para mężczyzn zaczęło się nerwowo kręcić. Trzech właśnie wstawalo, zachęcanych kolejnymi wezwaniem kapłana. Siwy wskazał palcem najbliższego z nich. Ubrany w wyswiechtany śliwkowy garnitur, pamiętający zapewne wczesnego Gierka, parafianin był niższy od niego o głowę i znacznie grubszy.

- A kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamieniem... - powiedział patrząc prosto w zmrużone,

zimne oczy w kolorze stali. Na wysokim czole wskazanego mężczyzny, mimo chłodu panującego w świątyni, pojawiły się krople potu. Spływały szybko, niknąc gdzieś w krzaczastych brwiach. - Pobijesz mnie, Włodziu, jak tę kobiecinę w zeszły piątek, która nie mogła oddać pożyczonych na leki pieniędzy? Skatujesz mnie, jak ją za marne dwieście złotych? A może pogroźisz mi kozikiem, który wciąż nosisz w kieszeni? Tym samym, którym pociąłeś tak dokładnie twarz Jadźki od Sobolaków. Pamiętasz ją na pewno, może i minęło już trzydzieści lat od tamtej chwili, ale przecież to była twoja pierwsza poważna robota, panie... Wsiowy Gangster. Nie lubisz, kiedy chłopcy Rogala na ciebie tak mówią... Nie lubisz, ale musisz słuchać za każdym razem, kiedy idziesz po swoje srebniki...

Mężczyzna w śliwkowym garniturze zamarł słysząc te słowa, potem spojrzal niepewnie na twarz kobiety, która siedziała obok niego. Wymalowane wszystkim odcieniami fioleto, okrągłe z przerażenia oczy mówiły same za siebie. Do tej pory Włodzimierz Praszka był dla ich właścicielki kochającym, może tylko nieco surowym mężem.

Taksówkarzem z zamiłowania i zawodu. O jego dodatkowych zajęciach nie wiedziała, podobnie jak o wielu innych sprawach domorosłego egzekutora długów pobliskiego lombardu, ale o starym nożu noszonym podobno dla samoobrony musiała wiedzieć na pewno. Pociągnęła osłupiałego męża za rękaw, a on, z otwartymi ustami i wybaluszonymi oczami, kląpnął ociążale na tyłek skupiając na sobie spojrzenia najbliższych siedzących.

- I ty, Brutusie, przeciwko mnie? - Palec przybysza powędrował ku następnemu obrońcy księdza. Wskazany nie zatrzymał się jednak, podchodził lekko pochylony z rękami wyciągniętymi jak do walki.

- Myślisz, Pawlik - powiedział spokojnie siwy patrząc mu prosto w oczy - że pójdziesz ze mną tak łatwo jak z człowiekiem, którego potrafiłeś tamtej sylwestrowej nocy na drodze za Patykami? On nie mógł się bronić, kiedy ściągałeś go na pobocze. Miał złamany kręgosłup, był całkowicie sparaliżowany, ale mógł mówić... I mówił, ciągle mówił, prawda? Błagał, żebyś się ulitował, żebyś wezwał pomoc, żebyś nie pozwolił mu umrzeć... Wiesz, jak długo jeszcze konał po tym, jak odjechałeś zepchnąwszy go do wypełnionego śniegiem rowu? Wiesz, co się potem stało z jego rodziną?

Pawlik, a w właściwie Paweł, bo zdrobnieniem nazywała go tylko żona i paru najbliższych kolegów, szedł nadal w kierunku mężczyzny w bieli, ale w jego postawie nie było już śladu agresji. Szedł jak automat, ręce opuścił, szczęka drgała mu spazmatycznie, oczy zaszyły mgłą. Nie wiedział, co stało się z ofiarą wypadku, nie chciał też wiedzieć, co stało się z rodziną. Pragnął zapomnieć, ale nawet lata picia na umór nie uwolniły go od wspomnień.

- Wmawiałeś sobie, kiedy dopadały cię koszmary, że ten człowiek przeżył - sceniczny szept siwego dotarł do najdalszych rzędów - ale dobrze wiesz, że nie miał

najmniejszych szans. Utrata takiej ilości krwi, hipotermia. To był środek naprawdę mroźnej zimy... Ty też nie będziesz miał szans, Pawlik, kiedy staniesz przed obliczem Najwyższego Sędziego. Może gdybyś wtedy nie zabrał portfela, gdybyś nie ściągnął obrączki... Gdybyś choć przestał jeździć po pijaku...

Mężczyzna zwany Pawlikiem upadł na kolana o krok od swojej niedosłej ofiary. Plakał, belkotał coś niezrozumiałe, potem, nie wstając z kolana, rzucił się w stronę ławy. Usiłował chwycić siedzących najbliższych ludzi za nogi, ale oni po prostu się odsuwali. Trzeci obrońca księdza sam grzecznie usiadł na miejscu, wszelako szmer w kościele narastał. Akustyka tej sali była naprawdę znakomita. Każde najciszej nawet wypowiedziane słowo z pewnością było słyszalne równie dobrze w ostatnim rzędzie jak i tutaj, tuż pod amboną. Cecha ta nie mogła jednak zrekompensować wyjątkowej szpetoty budowlanej.

- Znam każdy wasz grzech i każde przewinienie - kontynuował siwowłosa przechadzając się z wolna przed pierwszą ławą. - Mam adres twojej nowej kochanki, Jureczku... To już druga zaliczona sekretarka w tym roku, nieprawdaż? - wskazany palcem nowobogacki zaśmiał się nerwowo i umilkł widząc nienawistne spojrzenie eleganckiej żony. - O fagacie z niebieskim focusem, któremu już dwa razy rozorałaś podsufitkę obcasami, też wiem - nienawiść w oczach byleż miejscowej miss piękności natychmiast ustąpiła czystemu przerażeniu. - Siedem tysięcy dwieście osiemdziesiąt - szczupły chłopak w przydużej marynarce przelknął nerwowo ślinę, aż mu jabłko Adama zatańczyło na labędziej szyi. - Tyle już ukradłeś z kasy osiedlowego sklepu, w którym pracujesz. A właściciel nadal myśli, że to on ciebie wykorzystuje nie płacąc za nadgodziny. A pan listonosz ma może nadzieję, że nikt nie wie, kto zlecał w lipcu włamanie na Antoniukowskiej?

I znów tylko kilka kroków dzieliło mówiącego od ambony. Proboszcz stał jak skamieniały, przypominając jedną z naturalistycznych rzeźb zdobiących zazwyczaj stare kościoły. Zapewne wiedział już, że przegrał tę walkę, ale wciąż zastanawiał się, kim jest mężczyzna ubrany na białe. W przeciwieństwie do parafian nawet przez myśl mu nie przeszło, że wiedza, jaką dysponował tajemniczy przybysz, mogła pochodzić z zaświatów.

- A wracając do naszego pasterza... - szmery rozmów umilkły nagle, jak jęki konającego, który właśnie dokonał żywota. - Pani Wieczorkowa, proszę zapytać syna po powrocie do domu, gdzie to wyjeżdżał z księdzem dobrodziejem w soboty. A jeśli nie będzie chciał powiedzieć, to może kasety wideo, te które znajdują się na plebani, w skrzyni z drzewem obok kominka, tej dębowej, zamkniętej na klódkę, wyjaśnią sprawę...

- Zamilcz... proszę zamilcz... - Zdawało się, że ksiądz zupełnie bezgłośnie poruszał ustami, a mimo to wszyscy słyszeli, co mówi. Cud, a może tylko efekt kunsztu pozbawionego gustu architekta?

Siwy zamilkł, odwrócił się ku ambonie i wznosił ramię w oskarżającym geście, lecz zanim się odezwał, inny głos przerwał ciszę. O wiele wyższy w tonacji i znacznie bardziej stanowczy.

Dobiegł od wejścia.

- Przedstawienie skończone, panie Lis!

Obejrzeni się prawie wszyscy, prócz mężczyzny w bieli i księdza, który patrzył w tamtą stronę cały czas. Siwy opuścił powoli wyciągniętą rękę i zmełł w ustach ciche przekleństwo, tak ciche, że tym razem nikomu nie udało się go usłyszeć.

Przy wejściu stało trzech mężczyzn w czarnych garniturach. Dwaj potężnie zbudowani o byczych karkach i niemal identycznych twarzach trzymali się za plecami trzeciego, znacznie szczuplejszego i niższego od nich. Niski był, już na pierwszy rzut oka, o wiele starszy od swoich towarzyszy. Miał wysokie blade czoło okolone rzadkimi, przyprószonymi siwizną włosami, wodniste oczy, wąską szczelinę ust niemal całkowicie pozbawioną warg i orli nos, na którym opierały się grube okulary o lekko przyciemnionych szklach. Ci, którzy siedzieli najbliższych, gdyby mieli dobry zmysł obserwacji, mogliby zobaczyć jeszcze jeden szczegół: cieniutką kolistą bliznę niksącą w siwiznie przereźdzonych włosów na skroni.

- Urząd Ochrony Państwa - oznajmił nadchodzący pokazując niewielką odznakę, której kształtu z tej odległości nie daloby się rozpoznać, nie mówiąc już o odszyfrowaniu zdobiących ją napisów. - Proszę wszystkich o zachowanie spokoju i pozostanie na miejscach - dodał, widząc poruszenie, jakie wywołały jego słowa wśród zaskoczonych ludzi.

Rośli blondyni, którzy okazali się bliźniakami, stanęli tymczasem za plecami mężczyzny w bieli. Ich przelozony podszedł z przeciwnej strony, przyklęknął przed ołtarzem i się przeżegnał. Potem spojrział prosto w oczy człowieka o nazwisku Lis.

- Edmundzie Lis, synu Stanisławy i Ambrożego - powiedział beznamytnie, jakby cytował dane z rocznika statystycznego - w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej aresztuję pana za uczestnictwo w zorganizowanej grupie przestępczej, której celem była próba wymuszenia okupu przy pomocy zastraszenia i szantażu osób duchownych.

Mężczyzna nie odpowiedział. Jedno skinienie okulami wystarczyło, by fachowo założono mu kajdanki i pociągnięto między ławki. Nie bronił się, gdy bliźniacy go wyprowadzali, nie szarpał nawet. Szedł potulnie, niemal bezwolnie, między funkcjonariuszami służb specjalnych, wpatrując się w podłogę. Milczał, ale z jego twarzy nie zniknął ironiczny uśmieszek.

- Proszę o wybaczenie - powiedział oficer UOP-u, ledwie tamta trójka opuściła kościół. - Przede wszystkim za to, że tak długo nie reagowaliśmy. Jak państwo rozumieją, musieliśmy poczekać, aż podejrzany zabierze tak daleko w swoim przedstawieniu, by podczas procesu nie mógł się wyłgać byle wymówką. Zaręczam jednocześnie, że Edmund Lis już

nigdy nie będzie się wam narzucal. Dziękuję za zachowanie spokoju i współpracę... Szczęść Boże.

Zdezorientowany nagłym zwrotem wydarzeń proboszcz, nadal tkwiący na ambonie, przeżegnał się nerwowo i patrząc za odchodzącymi, powiedział trzęsącym się głosem: - Bracia moi i siostry! Oto byliście świadkami okropnych pomówień, jakie ten oszczerca wypowiedział, nie tylko przeciw wam, ale i mnie, waszemu pasterzowi... Ale sprawiedliwość boska, jak widzicie, istnieje!

Zmierzający do wyjścia oficer UOP-u słysząc te słowa zatrzymał się w połowie nawy i powoli odwrócił.

- Pan Lis wprawdzie żyje z szantażowania innych ludzi - powiedział beznamiętnym tonem - ale nigdy nie nazwałbym go kłamcą albo oszczercą. Podstawą działalności kierowanej przez niego grupy przestępczej jest doskonały wywiad środowiskowy. Obawiam się, że żaden z postawionych tutaj przez niego zarzutów nie był kłamliwy. Ale tym zajmą się w swoim czasie właściwe organa ścigania.

Wyprowadzony więzień musiał usłyszeć te słowa, bowiem następnym odgłosem, jaki doszedł uszu zebranych w kościele ludzie, był jego głośny śmiech. Na tyle głośny, że zagłuszył nawet kroki zmierzającego ku wyjściu mężczyzny w czerni.

Polaryzowane szyby mercedesa przepuszczały niewiele światła. Lis, rozparty wygodnie na tylnej kanapie, spoglądał to na pozbawioną wyrazu twarz szpakowatego mężczyzny, to na skute kajdankami ręce.

- Nie masz mi nic do powiedzenia? - zapytał mężczyzna w czarnym garniturze.

- Jako oficerowi UOP-u czy doktorowi Lewińskiemu, któremu poniekąd podlegam? - odpowiedział pytaniem Edmund i uśmiechnął się rozbijając.

- Jako przełożonemu - zapytany nie przejawiał ochoty do żartów.

- Jako przełożonemu mogę ci powiedzieć jedno, Adamie, byleś znakomity w roli jeupka-roztropka, a teraz zdejmij mi ten złom - pochylił się do przodu i podniósł skute ręce.

- Przykro mi, ale kluczyki ma któryś z braci Golców.

- Lewiński skinął głową w stronę tylnej szyby, przez którą widać było niewyraźny kształt maski jadącego za nimi jeeпа z ochroną. - Będziesz musiał znieść ten dyskomfort jeszcze przez jakiś czas.

- Dlaczego mi to robisz? - zachnął się Lis opadając teatralnie na siedzenie.

- A dlaczego ty nam t o zrobisz? - tym razem Lewiński odpowiedział mu pytaniem na pytanie. - Nie po to cię szkoliliśmy, żebyś epatował ludzi takimi przedstawieniami...!

- A po co? - Lis spojrzal z rozbawieniem na szarą w tym oświetleniu twarz przełożonego. - Powiedz mi, po co tak naprawdę mnie szkoliliście?

- Twoje zdolności są niezbędne dla obronności kraju.

- Gówno prawda! - krzyknął siwy wciskając się w kąt

- Bóg, Honor, Ojczyzna, akurat na te przykazania zabrakło miejsca w waszym katechizmie moralnym! Już bardziej pasuje Szmal, Koryto, Władza. Używacie mnie do eliminowania konkurencji do żłobu i tyle.

Lewiński spojrzal na niego z wyrzutem.

- Ujawnienie księdza pedofila uważasz za słusne posunięcie, ale urzędnika, który bierze łapówki już nie?

- Jeśli weźmiemy pod uwagę fakt - Lis uśmiechnął się złośliwie - że dotyczy to tylko urzędników powiązanych z opozycją, to masz rację, nie uważam. Nie powiesz mi chyba, że kiedykolwiek ktoś z naszego zespołu otrzymał zadanie rozpracowania człowieka z kręgu premiera?

Lewiński nie odpowiedział. Mógł wprawdzie skłamać, że i takie zadania zlecano zespołowi, ale Lis nie dalby się nabrać. Był z niego prawdziwy as w tej grupie specjalnej. Znany niegdyś wizjoner. Na tyle znany, że telewizja zorganizowała z nim pokazowy program. Staral się wtedy, na oczach widzów, rozwikłać trzy zagadkowe - choć rozwiązane wcześniej przez policję - zniknięcia, mając do dyspozycji tylko rzeczy należące do ofiar. Dwie z trzech diagnoz okazały się trafne. Ostatnia była tylko lekko chybiona. Dawne dziecko. Lewiński przypominał sobie mgliście, jak na niego trafil przerzucając od niechcienia kanały i zastanawiając się nad pewnym problemem służbowym. Dzień wcześniej zlecono mu potajemnie znalezienie haka na jednego z kontrkandydatów do fotela prezydenta. Facet z „niewłaściwej” opcji politycznej miał za dobre wyniki w sondażach. Adam mimo stosunkowo zaawansowanego wieku należał do ludzi myślących perspektywnie, nie miał ograniczników typowych dla urzędasów. Jak to mawiał jego osiemnastoletni syn: kumał. Patrząc na wyczyny Lisa uznał, że jasnowidz to idealne narzędzie do wykonania nietypowego zadania. I się nie pomylił. Odnalezienie Lisa okazało się nader proste - miał własną witrynę internetową. Jeden mail wystarczył, by nazajutrz spotkali się w kawiarni. Zanim Adam zdążył zadać pytanie, jasnowidz powiedział krótko: - Pięć tysięcy to trochę mało, panie Lewiński.

To było więcej niż rekomendacja. Dokładnie tyle Adam miał mu zaproponować za informacje kompromitujące kontrkandydata. I nie przedstawił się własnym nazwiskiem.

Dał dziesięć tysięcy, chociaż jasnowidz zastrzegł, że nie daje gwarancji na zdobycie haków. Człowiek przecież mógł być czysty jak lza. To było ryzyko, ale z drugiej strony... Który polityk nie ma czegoś za paznokciami? Był jeszcze jeden warunek. Lis musiał znaleźć się w tym samym pomieszczeniu co cel. To akurat nie stanowiło problemu. Kampania wyborcza

rozkręcała się na dobre. Wszyscy kandydaci dwoili się i troili, by przekonać wyborców do swoich osób i programów. Najbliższe spotkanie wypadło na drugi dzień, w Poznaniu. Pojechali tam we dwójkę, Adam został w samochodzie, Lis poszedł na wiec i mając podrobioną przepustkę, bez kłopotu dotarł do otoczenia kandydata. Wrócił po kwadransie i wręczył Lewińskiemu kartkę papieru z długim ciągiem cyfr, datą i jakimś niezrozumiałym słowem. Numer i hasło do konta. Tajnego konta w szwajcarskim banku. Sporo tego było, w sam raz tyle, ile kosztowało przepchnięcie pewnej ważnej ustawy. Telefon „życzliwego” wystarczył, by lider rankingów wycofał się z wyścigu.

Przełożeni Adama nie wiedzieli i nie chcieli wiedzieć, jak ich podwładny zdobył te informacje, ale nagroda go nie ominęła. Otrzymał przepustkę do większych pieniędzy i Naprawdę Wielkiej Polityki. Wtedy też postanowił zagrać *va banque*. Przez kilka miesięcy, w sekrecie, studiował pilnie wszelkie materiały dotyczące paranauki. Telepatia, telekineza, prekognicja, byty astralne. Zdolności nadprzyrodzone, o których napisano nie mniej niż o mitycznej Atlantydzie. I dla wielu tyleż fantastyczne, co zaginiony kontynent. A przecież Edmund Lis istniał naprawdę i choć Lewiński spijał śmietankę, faktycznie to właśnie nadprzyrodzone zdolności jasnovidza pozwoliły na usunięcie najgroźniejszej przeszkody dla prezydentury, a potem kilku pomniejszych przeciwników. O ile Lis był jasnovidzem czy raczej, bardziej naukowo to ujmując - prekognitą. Kilka prostych eksperymentów dało Adamowi do myślenia. Jeśli rzeczywiście miał dar jasnowiedzenia, jak mówił, dlaczego żądał zawsze kontaktu fizycznego z celem? I dlaczego nigdy nie ostrzegał przed trudnościami? A parę się pojawiło, zanim kampania szczęśliwie dobiegła końca. Chyba że jego wizjonerstwo było jedynie przykrywką, maską... Maską, pod którą krył się telepata. Genialny, ale tylko telepata. A to znacznie ograniczało pole manewru. Czym innym jest przewidywanie przyszłości, a czym innym możliwość monitorowania myśli innych ludzi. Władza nad przeszłością jest niczym wobec władzy nad tym, co jeszcze się nie wydarzyło. Ale, pomyślał Lewiński, skoro telepatia okazała się faktem, także pozostałe zdolności nadprzyrodzone mogą istnieć. A jeśli istnieją, muszą także być prekognicji, musi być chociaż jeden. Gdyby Adam zyskał potrzebne fundusze, mógłby stworzyć tajne centrum operacyjno-werbunkowe dla kolejnych para-agentów. Ale to oznaczało zdradę sekretu. I prawdopodobnie ośmieszenie się w oczach pragmatycznych przełożonych.

Zaryzykował jednak. Postawił sprawę jasno. Zaczął od sprawdzenia Lisa. Ten, choć z niechęcią, przyznał mu rację, nie miał żadnych wizji, potrafił wszakże odbierać cudze myśli. Poddal się serii testów potrzebnych do dokładnego określenia zakresu jego zdolności.

Wreszcie nadszedł dzień próby. Adam w nagrodę za zasługi stanął przed Komitetem - najbardziej

wpływową grupą ludzi w partii. Pamiętał ten dzień, jakby to było zaledwie wczoraj, choć minęło już tyle miesięcy. Komitet zbierał się regularnie w willi jednego z prominentnych działaczy, członka tego elitarnego klubu władców. Gdy zakończono omawianie ważniejszych spraw, Adam został poproszony do saloniku. Członkowie Komitetu siedzieli za suto zastawionym stołem. Piątę twarzy znanych z telewizji i on stojący przed nimi, z tomami akt pod pachą i naprawdę szalonym pomysłem.

- Panie Lewiński - zagał przewodniczący klubu parlamentarnego, pobieżnie przerzucając dostarczoną przez Adama dokumentację - powiem wprost. Propozycja, jaką pan przedstawił Komitetowi, jest idiotyczna, ale zgodnie z obietnicą i mając w pamięci, co pan dla nas zrobił, nie wywalę pana za drzwi od razu i wysłucham pańskiej obrony. Niemniej, zdaje pan sobie sprawę, że jeśli to - wskazał na papiery - okaże się jakimś humbugiem, pożegnamy się na stałe. Żąda pan pięciu milionów złotych na zorganizowanie komórki kontrwywiadu werbującej agentów...

- Agentów posiadających zdolności paranormalne - odpowiedział Adam.

- Dokładnie, agentów paranormalnych, cokolwiek to znaczy. Proszę mi powiedzieć, jak pan to sobie wyobraża? Wie pan przecież, jak wygląda budżet resortu. Nie możemy wpisać kilku milionów do rubryki „wydatki własne”. Ma pan też świadomość, że za te pieniądze możemy mieć kilkudziesięciu najlepiej wyszkolonych normalnych specjalistów.

- Nie licząc sporej ilości najnowocześniejszego sprzętu szpiegowskiego - dodał wicemarszałek Sejmu.

- Dokładnie. Pan natomiast nie oferuje niczego konkretnego, z tego co widzę. Równie dobrze może się okazać, że nie znajdziemy nikogo o takich zdolnościach, prawda?

- Teoretycznie... - Adam zaczynał podejrzewać, że przesadził w swoich kalkulacjach - jest to możliwe.

Prominenci patrzyli na niego z wyraźnym rozbawieniem. Dla nich jasnovidz był rodzajem kuglarza. Co najwyżej prestidigitatorem. Widowskim oszustem zmysłów. Jak David Copperfield.

- Rozumiem panów opory. Sam do niedawna byłem sceptycznie nastawiony do paranauki, niemniej mamy tutaj do czynienia z prawdziwym fenomenem. W dostarczonym dossier na stronach od siódmej do dwudziestej drugiej znajdują panowie szczegóły testów, jakie przeprowadziłem...

- Wróżki, krasnoludki, w co jeszcze każe nam pan uwierzyć? - przerwał mu znany senator odpychając z niechęcią przeglądane papiery. - My się zajmujemy realną polityką. Rządzimy państwem, analizujemy wszystko naukowo, ale nigdy nie wróżymy z fusów. Przecież to jest śmieszne...

- Daleki jestem od opowiadania bajek, panie senatorze - powiedział Adam. - Przypadki, o których mówię, to nie oszustwa. To działanie sił, których póki

co nowoczesna nauka nie potrafi wyjaśnić, ale też ich nie neguje.

- Chce pan powiedzieć - wtrącił milczący dotychczas wicepremier - że taki agent, mógłby, dajmy na to, podać skład grupy trzymającej władzę?

- W sprzyjających okolicznościach byłoby to nawet dość proste - przyznał Adam.

- Co to znaczy: w sprzyjających okolicznościach? - zapytał wicemarszałek.

- Nie jestem w stanie wyjaśnić tego dokładniej, ale z dotychczasowych badań nad obiektem A wiemy, że telepata może biernie odczytywać myśli celu, ale nie może nakłonić go do myślenia o konkretnych rzeczach. Obrazowo to przedstawiając telepatia to coś w rodzaju telewizji. Pan Lis jest odbiornikiem myśli i obrazów z umysłu skanowanej osoby. Moja pierwsza operacja powiodła się, ponieważ umieściłem telepatę w pobliżu celu podczas konferencji prasowej, na której był on odpytywany w interesujących nas sprawach. Choć mówił co innego, jego myśli przedstawiały prawdziwy obraz sytuacji. Zatem gdybyśmy doprowadzili do takiej konfrontacji z, przykładowo, takim Rywinem, to zapewne otrzymalibyśmy odpowiedzi na wszystkie dręczące podówczas komisję pytania...

- To i tak nie ma już dzisiaj znaczenia - pokręcił głową wicemarszałek, który wiele skorzystał na obecności w komisji podczas tamtej afery - ale szkoda, że nie mieliśmy pańskiego pupilka pod ręką trzy lata temu.

- A jak pan zamierza rekrutować te swoje paranaturalne wybryki? - zapytał całkiem rzeczowo wicepremier. - Przecież nie da pan ogłoszenia do „Wyborczej”!

- To akurat nie będzie trudne - odparł Adam. - Proszę spojrzeć na stronę osiemną w tomie drugim. Mamy dobre układy w mediach. Zlecimy opłacanym przez nas redaktorom stworzenie i reaktywowanie programów o zjawiskach paranormalnych. Umieszczenie ich w pasmach największej oglądalności nie powinno być problemem. Na początek pójdą materiały spreparowane i apele do widzów, żeby zgłaszali znane im przypadki podobnych zdarzeń. Rozpoznaniem zajmę się sam pod przykrywką pracy reporterskiej. Sądzę, że w ciągu pół roku od pierwszej emisji powinniśmy mieć wymierne efekty.

- To brzmi dość rozsądnie - zgodził się wicemarszałek nalewając sobie kieliszek Smirnoffa. - Zastanawiam się jednak, czy to ma sens. Jeśli ludzie z takimi paradolnościami nie są totalną rzadkością, i jeśli są tak przydatni, to dlaczego żaden z wywiadów wielkich mocarstw nie opiera się na nich?

- Tego, czy Mossad albo CIA nie korzystają z usług takich właśnie agentów, po prostu nie wiemy. Zapewne jest to objęte klauzulą najwyższej tajności. Z wiadomych powodów... Istnieją jednak przesłanki, że wielokrotnie wykorzystywano siły nadprzyrodzone do działań operacyjnych... - Adam był przygotowany na takie pytanie. Zebrał szczegółowe, choć w całości nicoficjalne materiały na temat eksperymentów

paranaukowych przeprowadzanych w przeszłości przez rządy w Stanach Zjednoczonych, Japonii i Rosji. Wyluszczał sprawę powoli, krok po kroku, począwszy od lat pięćdziesiątych, uwypuklał najgłośniejsze przypadki. Referował dokładnie każdy rodzaj fenomenu, jaki odnotowała nauka i paranauka. Wskazywał na płynące z nich korzyści i zagrożenia. Dowodził, iż jeden przeszkolony telepata jest w stanie wykonać więcej roboty niż stu klasycznych szpiegów. Zwłaszcza gdy chodziło o wykradanie tajemnic. Adam, wiedząc, do czego Lis jest zdolny, wierzył, iż przecieki mówią prawdę. Ci, których ta wiedza ominęła, traktowali wszystko jak zwykle sensacyjne publikacje z prasy bulwarowej.

- Fakty, panie Lewiński, fakty - przerwał wykład senator. - Ja też czasem oglądam Discovery i widziałem tam znacznie lepsze numery niż to, co pan opowiada. Ale to są fakty medialne. Pic na wodę. Może i ten pana człowiek ma jakieś tam zdolności, ale jak pan sam mówi, to tylko siedemdziesiąt procent pewności. Albo inaczej mówiąc, co najmniej trzydzieści szans na sto, że zawiedzie.

- To nie tak - oponował Adam. - Te trzydzieści procent to testy nie dotyczące bezpośrednio telepatii, ale...

- W tym fachu każda pomyłka może wiele kosztować - przerwał mu senator.

- Ryzyko rzeczywiście jest zbyt duże - ocenił szansę powodzenia wicemarszałek - a weryfikacja zdobytych danych będzie praktycznie niemożliwa. To, że udało nam się kilka razy, nie oznacza, że udawać się będzie zawsze. A co, jeśli pański agent odczyta fantazje celu, urojenia? Zdaje pan sobie sprawę, że jeśli otwarcie postawimy komuś zarzut, mylny zarzut, to popelnimy publiczne i polityczne samobójstwo.

Adam wiedział, że taka pomyłka jest możliwa. Już się zdarzyła, prawdę mówiąc, ale o tym wiedział tylko on i sam telepata. Bujna wyobraźnia jednego z liderów opozycyjnej partii o mało nie doprowadziła do totalnego blamażu. Na szczęście Lewiński sprawdzał wszystko trzy razy i w ostatniej chwili zrezygnował z kontrolowanego przecieku do prasy o romansie radykalnego posła ze znaną piosenkarką. Coś go tknęło, by sprawdzić także jej wspomnienia. Podczas sfingowanego wywiadu dziennikarz zapytał wprost o plotki dotyczące tej sprawy. Obecny przy tym Lis nie znalazł niczego, co potwierdzałoby erotyczne fantazje parlamentarzysty. Wtedy jednak Adam zrozumiał, jak wiele ryzykował. Telepata mógł przekazać treść przechwyconych myśli, ale nie potrafił ocenić ich prawdziwości. Nadszedł moment na użycie ostatecznego argumentu.

- Jeśli panowie pozwolą - powiedział Adam oblizując spierzchnięte wargi - to chciałbym zaprezentować wam zdolności mojego medium tu i teraz.

Politycy za stołem prezydialnym naradzali się między sobą. Przewodniczący sądu partyjnego wprowadzić zdecydowanie oponował przeciw zaproszeniu Edmunda Lisa na posiedzenie, ale pozostali

szybko go przegłosowali. Prawdę mówiąc nie wierzyli w jego legendarną moc. Adam sądził nawet, że liczyli na możliwość zdemaskowania sprytnego oszusta i pozbycia się w ten sposób uciążliwego podwładnego lansującego pomysły, ośmieszające powagę ich urzędów.

Telepatę sprowadzono w niespełna pół godziny. Pojawił się w asyście dwóch mocno poirytowanych ochroniarzy, w momencie gdy Adam kończył czwartą kawę. Lis wszedł na salę, przywitał się grzecznie z obecnymi i zajął wskazane mu przez agentów ochrony miejsce. Nie wydawał się zaskoczony obecnością znanych postaci sceny politycznej. Adam opowiedział mu o swoich zamiarach, wiedząc, że ukrywanie projektu przed osobą czytającą w myślach nie ma najmniejszego sensu.

- Oto pan Edmund Lis, człowiek, o którym wcześniej mówiłem... - Lewiński przedstawił go zebranym. - Jeśli ja nie mogę panów przekonać do projektu, on to zrobi za mnie.

- Niby jak? - zapytał z rozbawieniem wicepremier spoglądając na telepatę. - Dowiemy się, jakie numery padną w jutrzejszym losowaniu totolotka?

- To raczej nie jest możliwe - odparł spokojnie Lis. - Nie jestem członkiem Rady Polityki Pieniężnej, nie potrafię przewidywać przyszłości. Widzę jedynie fakty z przeszłości badanego obiektu.

- W przeszłości to każdy potrafi czytać - skontrował żart senator.

- A zwłaszcza historycy i politycy - poparł go wicepremier.

Lis uśmiechnął się niewinnie, a następnie przez kwadrans opowiadał o sprawach, które każdy z nich pragnąłby zachować tylko dla siebie. Adam miał nadzieję, że nie przesadzi w odkrywaniu prawdy, bo to mogłoby skończyć się tragicznie dla nich obu. Ale telepata starannie dobierał ujawniane fakty. Lewiński obserwował z satysfakcją purpurowiejące twarze kolejnych polityków i błogosławił w duchu swoją zapobiegliwość. To nie było ich pierwsze spotkanie z telepatą. Lis już kilkakrotnie uczestniczył w ostrych konferencjach prasowych z ich udziałem. Oczywiście incognito, raz jako pracownik firmy cateringowej, innym razem zadawał pytania jak rasowy dziennikarz. Adam dobrze go przygotował, żeby dzisiaj nie popełnił błędu. Ostrzeżeni politycy z pewnością nie myśleli o sprawach, jakie mogłyby im zaszkodzić. Ale wtedy, pewni, że nikt nie jest w stanie sięgnąć do ich głów, rozkoszowali się własną bezkarnością.

- Ma pan ten kontrakt! - ryknął nagle przewodniczący klubu parlamentarnego, przerywając ciekawy wywód na temat pewnej niepełnoletniej wyboreczym z jego okręgu. - Ma pan te pieprzone pięć milionów!

- Chwileczkę... - szepnął błady jak ściana wicepremier, który zaledwie przed trzema minutami usłyszał daty i nazwiska, o których wolalby zapomnieć.

Adam zbaraniał. Lis za to wyglądał na zadowolonego.

- Dostanie pan dziesięć milionów, nawet dwanaście, bo tyle mamy jeszcze w rezerwie resortowej - kontynuował pobladły polityk mówiąc przez zaciśnięte zęby - ale pod jednym warunkiem! Opracuje pan w pierwszej kolejności skuteczne metody zabezpieczenia przed takimi typami jak... pańskie medium - tu wskazał na rozpromienionego Lisa.

Adam zgodził się na ten warunek. Dlaczego nie miałby wziąć tych siedmiu dodatkowych milionów? Prawdę mówiąc miał w planach zabezpieczenie się przed zdolnościami swojego pierwszego podopiecznego, choć celowo nie umieścił takiego podpunktu w preliminarzu wydatków.

Potraktował to polecenie jako priorytet i już po ośmiu miesiącach doprowadził do opracowania skutecznej metody zabezpieczania ludzi przed możliwością czytania w ich myślach. Komitet zweryfikował te wyniki po swojemu. Do resortowego ośrodka wypoczynkowego na Mazurach, który przerobiono na bazę zespołu, wysłano „zabezpieczonego” taką metodą agenta z zewnątrz. Człowiek ten otrzymał zadanie zlikwidowania telepaty. Nie fikcyjne, ale jak najbardziej prawdziwe. Plan polegał na tym, żeby Lis zetknął się z agentem, który nie miał pojęcia o jego zdolnościach. Przykrywką była prosta. Funkcjonariusz miał zabrać telepatę na kolejne zadanie w terenie. Ten ostatni, gdyby potrafił pokonać barierę, powinien odczytać prawdziwe intencje oprawcy. Niemniej nie odczytał i ufnie wszedł do samochodu wiozącego go na pewną śmierć. Trzeba było widzieć jego zdziwienie, kiedy za bramą ośrodka oficer prowadzący odwołał akcję. Nie był „zabezpieczony”, zatem wszystko się wydało w jednej chwili. Wtedy też Lis po raz pierwszy się zbuntował. Nie było to specjalnie dziwne, zważywszy bezceremonialność metod agencji. Mocodawcy wiedzieli jednak, jak go szybko ułagodzić. Ich metody, choć o wiele bardziej przyziemne, też bywały skuteczne.

O ile część zabezpieczeniowa programu zakończyła się pełnym sukcesem, o tyle szukanie nowych agentów spaliło na panewce. Adamowi marzyło się znalezienie naprawdę niezwykłych ludzi. Wierzył głęboko, iż na świecie jest wielu odmieńców, których zdolności przewyższają to, czego mógł dokonać Lis. Na razie udało mu się zwerbować tylko dwóch obiecujących bioenergoterapeutów. Nawet rozszerzenie programu werbunkowego na kolejne kanały prywatnych telewizji nie przynosiło póki co pożądanego efektów. Zdecydowana większość anomalii okazywała się zwykłymi oszustwami albo wykraczała poza sferę zainteresowań Adama. Przełożeni jednak opłacali sownie jego badania i nie zgłaszali obiekcji. Wydawać się nawet mogło, że cieszy ich brak nowych adeptów na superagentów. Ale to już niedługo miało się zmienić. Już niedługo...

- ...bo ja, Adamie, wierzący jestem! - Lewiński wyrwał się z zamyślenia, kiedy monologujący Lis podniósł niespodziewanie głos. - Bo wkurwia mnie fakt, że człowiek, który powinien od lat siedzieć w więzieniu, niemal w majestacie prawa molestuje kolejne dzieci! I to jako strażnik moralności innych ludzi! No sam powiedz, jak ja, człowiek, który wierzy w Boga, mam traktować kapłana, teoretycznie wprowadzającego w tajemnice wiary, a w praktyce gwałcącego moje dziecko?

- Za krótkcy jesteście, żeby to zmienić - wtrącił sentencjonalnie rozkojarzony Lewiński.

- Ja nie jestem za krótki - zaprotestował telepata. - Ja...

- Jeśli mówię, że jesteś, to jesteś. I masz teraz inne zadania. - Adam zgasił jego moralizatorski zapal i zaczął nerwowo przeszukiwać kieszenie marynarki. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Niewielki kluczyk na łańcuszku poleciał w kierunku zaskoczonych telepaty. - Sam świata nie zmienisz, przynajmniej jeszcze nie dzisiaj.

Lis złapał kluczyk w locie i spojrzał z urazą na przelozonego.

- Jakie inne zadania? - zapytał otwierając nieporadnie zamek. - Lepper znowu rośnie w sondażach?

- Nie, tym razem nie chodzi o polityka.

- Nie o polityka? - zdziwił się Lis. - To o kogo?

Adam odebrał Lisowi kluczyk i rozpięte kajdanki. Ważył je chwilę w ręce, jakby zastanawiając się, czy dobrze robił uwalniając telepatę, wreszcie zdecydowanym ruchem schował do kieszeni marynarki.

- Po latach poszukiwań uśmiechnęło się do mnie szczęście - powiedział.

- Zerwałeś sobie nową kobitkę? - ożywił się Lis. - I chcesz wiedzieć, czy naprawdę cię kocha? - roześmiał się domyślnie. - W tych sprawach to i ja nie pomogę. Kobieta zmienna jest i basta...

- Nie chodzi o kobietę... - odparł wciąż zamyślony Adam. - To znaczy, nie w tym znaczeniu, o którym myślisz.

- A w jakim?

- Myślę, że trafilem na ślad jednorożca.

- Pieprzenie - telepata roześmiał się na głos.

- Nie doceniasz mnie, przyjacielu.

- Przy całym szacunku, jaki żywię do pieniędzy, które reprezentujesz, nie uwierzę w to, póki nie dotknę albo nie zobaczę.

- Niedługo, naprawdę niedługo przekonasz się, że nawet telepaci się mylą.

- Jasne, jasne. Diabła tam... - Lis ułożył się wygodniej, jakby zamierzał zasnąć, ale tylko zmrużył na chwilę oczy. - Szlag by to! - jęknął i znowu się wyprostował.

- Co się znów stało? - zaskoczony Lewiński popatrzył na niego szczerze zdziwiony.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Lis.

- Do Wrocławia - odparł zwięźle Adam, zresztą zgodnie z prawdą. Jechali prosto na akcję. - Reszta ekipy już jest w drodze.

Telepata spojrzał na zegarek.

- Późno już, cholera... Poproś Norberta - wskazał głową na metalową płytę dzielącą przód kabiny od przedziału dla pasażerów - żeby pojechał w Warszawie pod Dworzec Centralny. Obiecałem Młodemu wychodząc na przepustkę, że kupię mu nowego Hellboya i kompletnie mi to z głowy wyleciało.

- Hellboya? - zdziwił się jeszcze bardziej Lewiński.

- To taki komiks... - wyjaśnił z niewinnym uśmiechem Lis - O potworach, które są wykorzystywane przez pewną agencję rządową do walki ze złem.

- Że też chce się wam czytać takie fantastyczne bzdury... - Adam pokręcił głową.

- Dla kogo bzdury, dla tego bzdury - uśmiechnął się telepata. - I nie żadna fantastyka. Jak dla mnie, to niezły obyczaj...

Do zmierzchu było jeszcze daleko, ale na zewnątrz panowały egipskie ciemności. Ołowiane chmury ściśle zakryły niebo, widoczne jedynie nad wąskim kanionem ulicy, między szpalarami przedwojennych kamienic. Pierwsze, ciężkie krople deszczu zaczęły bębnić rytmicznie o dach jeepa.

- Długo jeszcze? - Młody odłożył komiks na siedzenie i z sapnięciem otworzył kolejną puszkę Coli Zero. Mimo włączonej klimatyzacji pocił się jak mysz. Sto dwadzieścia kilogramów żywej wagi zamknięte w niezbyt przestronnej budzie pojazdu zaczynało wydzielać intensywny i niezbyt przyjemny zapach piżma.

- Nie pij tyle, bo przerwy na odcedzanie ziemniaków nie będzie - zganil go Lis. Na podłodze między siedzeniami leżało już sześć opróżnionych do ostatniej kropli pogniecionych puszek.

- Dupa tam... - zachnął się grubas i dokończył konsumpcję. - Ty, Mulder, lepiej odpowiedz mi na pytanie.

Lis nie lubił, kiedy go tak nazywali, ale przywykł. Młody - utalentowany bioenergoterapeuta, miał przykry zwyczaj nadawania naprawdę wymyślnych przydomków reszcie członków zespołu. I miał do tego talent. Zresztą jak się chwilę zastanowić, to faktycznie skojarzenie było proste. Lis to Fox, zdrobnienie od Edmunda zamienił na Mulder żaden problem. Do tego robota, jaką wykonywał, nadawała się do „Archiwum X”. Młody sam siebie określał mianem pan Hyde, a na drugiego uzdrowiciela zwykł mawiać doktor Jekyll. Posiadali te same zdolności, a zabierano ich na akcje zazwyczaj wymiennie. Stanowili też absolutne przeciwieństwa, zarówno charakterologiczne, jak i fizyczne. Piotr Konieczny, reszcie zespołu znany bardziej pod mianem „Młody”, jakim go ochrzcił Lis, miał zaledwie dwadzieścia pięć lat i ukończony

ogólniak, bez matury. Był złośliwy, leniwy, ale sprawdzał się jako dobry kumpel w odosobnieniu ośrodka. Sypał kawalami jak z rękawa i potrafił wypić morze gorzały. Natomiast doktor Walerian Okrasa, czyli doktor Jekyll, był statecznym starszym panem około siedemdziesiątki. Nie ważył więcej niż pięćdziesiąt kilogramów i zachowywał się z rezerwą godną arystokraty, który przypadkiem wstąpił do karczmy pełnej plebsu. Trudno było go polubić, zwłaszcza że wołał własne towarzystwo, książki i radio. Do telewizji jakoś nie mógł się przyzwyczaić. W rzeczy samej, posiadający te same zdolności stanowili swoistą emanację znanego bohatera literackiego w dwóch osobach.

- A skąd mam wiedzieć? - Lis po chwili zamyślenia odpowiedział na pytanie kolegi. - Jeśli o mnie chodzi w życiu nie uwierzę, że trafimy kiedykolwiek na jednoroźca. To niemożliwe.

Mianem Jednoroźców" określali w zespole ludzi ze zdolnościami widzenia przyszłości. Ktoś kiedyś powiedział, może nawet Młody, że jeśli istnieją na świecie prekognici, to są rzadsi od jednoroźców. I bardziej legendarni. A jednak Lewiński nie ustawał w poszukiwaniach. Dla niego prekognita stanowił klucz do wrót oddzielających nasz świat od tego, w którym wszystko jest możliwe. Był ostatnim ogniwem potrzebnym do zrealizowania misternego planu, który dojrzał w głowie Adama od wielu miesięcy. Od czasu gdy implant skutecznie zabezpieczył go przed odczytaniem jego myśli.

Kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt razy namierzał ludzi, którzy mieli wyjątkowe szczęście. Badal wszystkie przypadki. Obserwacją objęto najlepszych graczy na giełdzie. Tych, którzy wygrywali w totka i w kasynach. Adam przypuszczał, że ktoś potrafiący dojrzeć przyszłość, skusi się na łatwe pieniądze. Na razie jednak ten trop prowadził donikąd.

Pierwszym sukcesem okazała się za to emisja programu telewizyjnego o „aniolach stróżach”. Spreparowano w nim serię opowiadań o tajemniczych opiekunach, którzy ostrzegali ludzi przed groźnymi im wypadkami. Po programie odezwano się kilkanaście osób z Dolnego Śląska i okolic Wrocławia, które przeżyły podobne zdarzenia. Do kobiety stojącej późnym wieczorem z trójką dzieci na opustoszałym przystanku tramwajowym przed Dworcem Głównym podeszła dziewczyna i poprosiła o pomoc w znalezieniu właściwej linii. Gdy kobieta chciała zostawić dzieci razem z bagażami dziewczyna zaoponowała. Pomogła przenieść walizki pod rozkład jazdy. Dziesięć sekund później prowadzony przez pijanego kierowcę TIR przetoczył się przez miejsce, w którym stała rodzina. W powstałym zamieszaniu dziewczyna zniknęła, zanim ktokolwiek zdążył jej podziękować. Przypadek, cud czy efekt prekognicji? Ocalona nie miała wątpliwości co do mistycznego pochodzenia „aniola”. Podobny schemat dotyczył jeszcze sześciu potwierdzonych przypadków, choć nie we wszystkich osobą ostrzegającą była młoda dziewczyna. W dwóch przypadkach był to kilkuletni

chłopczyk. Raz dziecko zaczęło płakać w zatłoczonym sklepie mówiąc, że czuje ulatniający się gaz. Wybuchła panika, nawet ekspedientki uciekły na ulicę. Chwilę później eksplozja doszczętnie zniszczyła pomieszczenia sklepowe, raniąc szesnaście osób, przeważnie gapiów, ale przynajmniej nikt nie zginął. Prowadzone potem dochodzenie wykazało, że rozszczelnieniu uległ niedawno remontowany zawór w piwnicy pod sklepem. Tyle że ulatniający się gaz był absolutnie bezwonne i niemożliwy do wykrycia organoleptycznie. Sprawa ta była na tyle głośna, że pisały o niej lokalne dzienniki. Dzieciak oczywiście zniknął w zamieszaniu spowodowanym wybuchem.

Poszlak było wiele, śledztwo Lewińskiego utykało jednak za każdym razem w martwym punkcie. Naoczni świadkowie pomogli w sporządzeniu dokładnych portretów pamięciowych dziewczyny i chłopczyka. To pozwoliło na rozpoczęcie konkretnych poszukiwań. Zaangażowano w nie naprawdę wielkie środki. Stworzono odpowiednią legendę, oto niepozycjalna kobieta porwała dziecko córki lokalnego polityka rządzącej partii. Zalecana jest daleko idąca dyskrecja i poszukiwania na pełną skalę z udziałem policji i części służb specjalnych. Nawet zespół nie wiedział, że Adam wpadł na tak wyraźny trop. Lewiński nie czuł potrzeby dzielenia się tą informacją ze swoimi ludźmi. Na wypadek, gdyby okazało się, że znów brnie w ślepy zaułek. Lis i pozostali zajmowali się w tym czasie bezowocną obserwacją bywalców kasyn i lotto-milionerami.

Mijały miesiące, Lewiński z wolna sam zaczął wątpić w powodzenie operacji. Sprawa dziewczyny wydawała się nie ruszać z miejsca. Poszukiwani jakby zapadli się pod ziemię, skończyły się doniesienia o cudownych ocaleniach. I tak było aż do dzisiaj...

Dlatego, po krótkiej radiowej odprawie, siedzieli od kilku godzin w wozie zaparkowanym na jednej z bocznych uliczek Olbina. Mercedes z resztą zespołu czekał za najbliższym rogiem.

- Szlag... - mruknął Lis sadowiąc się wygodniej. Gdyby nie ulewa i wyraźny zakaz Lewińskiego, wyszedłby na papierosa. Ani młody, ani Robert, jeden z braci Golezyków przydzielony im na kierowcę, nie palili i zabronili mu nawet myślenia o jednym szybkim sztachnięciu przy otwartym oknie. - Na twoim miejscu przygotowałbym się na mało wygodny nocleg w wozie.

- Też się tego obawiam. - Grubas pokiwał smętnie głową, obrócił w rękach zaczytany komiks i nagle się rozpromieniał. - Opowiem wam kawał...

Lis zachichotał.

- Tego faktycznie nie znałem - powiedział przecierając oczy.

- Wypieprzaj mi ze zwojów - obruszył się Młody. - Powiedziałem, że opowiem kawał...

- A ten to znam - skwitował tę wypowiedź Lis, który miał szczerą ochotę zapaść w drzemkę. - ...I Bóg odszedł od Adama zadowolony, patrzy na Ewę i mówi, cudo z tyłu, cudo z boku... a z przodu będzie się małować.

- Świnia - obruszył się Młody. - Mulder, pieprzony telepie, czy ty zawsze musisz mi palić dowcipy, zanim je opowiem? Może Golec nie znał...

- Nie zawsze - zaproponował Lis. - Tylko wtedy, jak mnie wkurwiasz.

- Cicho... - Golec odwrócił się do niego, sięgnął do ucha i przycisnął mocniej słuchawkę. - Nie słyszę, co do mnie mówią z jedyńki.

Mundek chciał coś dodać, ale w tym momencie obok wozu ktoś przeszedł. Skurczona, drobna sylwetka w jaskrawożółtej pelerynie przeciwdeszczowej. Znudzony telepata sięgnął do umysłu przechodnia niemal bezwiednie i nagle zeszytniał. Poczul zawrót głowy, chłód, cała krew odpłynęła mu z twarzy. Zakrztusił się własną śliną.

- Co jest? - zapytał zaniepokojony jego wyglądem Golec.

- Jednorożec... - wycharczał blady jak kreda Lis patrząc na wolno oddalającą się postać. - Jebany jednorożec!

Szarpnął za klamkę i wyskoczył z wozu. Był tylko odrobinę wolniejszy od ochroniarza, który już pędził w kierunku wciąż oddalającej się postaci. Zza rogu wybiegł drugi z braci, za nim pojawiły się dwie o wiele szczuplejsze sylwetki, ukryte pod parasolami.

Prekognita się zatrzymał. Spoglądał przez moment na nadbiegającego ochroniarza, potem odwrócił się, uczynił to jednak spokojnie, bez oznak przerażenia czy dezorientacji. Robert już prawie przy nim był. A właściwie przy niej. Spod mocno naciągniętego na czoło kaptura wymykały się długie kosmyki kasztanowych włosów.

Lis miał pewność, że cel nie ucieknie. Wszystkie bramy były solidne, ponemieckie. Zamknięte, zabezpieczone domofonami. Sprawdzili to, zanim jeszcze się rozpadalo. Jedyne drogi wyjścia blokowały obie części zespołu. Dziewczyna chyba to rozumiała, powoli podniosła ręce do góry. Lis raz jeszcze spróbował wejść w jej umysł. Ostrożnie, teraz już wiedział, co na niego tam czeka. Wszakże tym razem było inaczej. Wprawdzie wciąż widział setki przemykających obrazów, zbyt ulotnych, by je rozpoznać albo zapamiętać, zbyt szybko ginących w wirze tysięcy im podobnych, ale teraz były jakby... wyblakłe. I wtedy odczytał tę myśl, która zdominowała pozostałe.

- Nie podchodzić! - ryknął, ale Lewiński albo go nie dosłyszał, albo zlekceważył ostrzeżenie. - Cofnijcie się, ona ma...

Ogluszający huk pioruna, który uderzył w ogromnik budynku administracji, zagłuszył jego słowa. Ale Golcowie, w snopach iskier, które się posypały, dostrzegli zagrożenie. Błyskawicznie wyciągnęli broń i wymierzili w głowę dziewczyny. W tym momencie do Lisa dołączył zasapany Młody.

- Cofnij się - warknął Mundek i popchnął grubasa. Okazało się, że przeliczył się z silami. Bioenergoterapeuta stał jak wmurowany.

- Co jest? - zdziwił się Młody, ale zanim Lis mu odpowiedział, zobaczył jajowaty przedmiot w dłoni dziewczyny. - Szlag, jak pierdolnie, to nawet ja was z tego gówna nie wyciągnę - sapnął i rozejrzął się, jakby szukał schronienia.

- Młoda damo! - Lewiński zatrzymał się o dwa kroki od desperatki. - Proszę to odłożyć, naprawdę nie chcemy zrobić pani krzywdy.

Dziewczyna pokręciła przecząco głową i potrząsnęła groźnie ręką, w której trzymała granat. W palcach drugiej uniesionej wysoko dłoni Lis zauważył zawleczkę.

- Nie wierzysz mi, Sabino - Adam uśmiechnął się krzywo. - Ale to nie zmienia sytuacji... Możesz się tutaj zabić, ale to nie uratuje życia twojemu braciszкови, prawda?

Dziewczyna spojrzała na niego z nienawiścią, ale nie opuściła ręki. Za to zawleczka poszybowała wraz z kroplami deszczu na płyty chodnika.

- Odlóż ten granat - kontynuował nie zrażony Lewiński - i chodź z nami, a obiecuję, że zrobimy wszystko, by Piotruś z tego wyszedł. Jeśli masz dar, o który cię podejrzewamy, to wiesz, że nie kłamię.

Lis nie wiedział, o czym tamten mówi, a sytuacja była zbyt poważna, żeby ponownie spróbował wchodzić w jej umysł. Jeśli Lewiński źle ocenił sytuację, być może ułamki sekund zadecydują, kto przeżyje tę jatkę. Musiał zachować koncentrację. Spojrzał przez ramię na Młodego, ale w miejscu, w którym powinien znajdować się bioenergoterapeuta, nie było nikogo.

- Odlóżcie broń. - Adam skinął na Golców, ale nie zamierzali go posłuchać. - Do jasnej cholery, to rozkaz! - ryknął Lewiński wyraźnie zirytowany niesubordynacją w obliczu jednorożca.

To poskutkowało, oba pistolety zostały opuszczone. Lufy wprawdzie skierowane były teraz w stronę chodnika, ale Mundek wiedział, że dla tak wyszkolonych strzelców złożenie się do strzału nie trwałoby dłużej niż mgnienie oka. Dziewczyna, o ile miała trochę rozumu w głowie, też powinna zdawać sobie z tego sprawę.

- Proszę - Adam stanął między nią a jednym ze strzelców wyraźnie dając do zrozumienia, że rozwiązanie siłowe nie wchodzi w grę. - Naprawdę nie chcemy cię skrzywdzić. Wiesz, że jesteśmy jedyną szansą dla Piotrusia. Dla ciebie w pewnym sensie też...

- Przysięgnij na życie swoich dzieci! - przerwała mu niespodziewanie dziewczyna.

- Spójrz w przyszłość, to będzie większa gwarancja od mojej przysięgi - odpowiedział spokojnie Lewiński.

- Przysięgnij na życie swoich dzieci, że zrobisz wszystko, by nie umarł! - powtórzyła.

Adam spojrzał na Lisa, na Golców, na Hyde'a... chyba dopiero teraz zauważył brak Młodego. Złożył parasol, podniósł twarz i pozwolił, by przez moment wielkie krople rozbijały się o jego okulary. Potem położył rękę na sercu i powiedział:

- Mam tylko jedno dziecko, syna. I przysięgam na jego życie, a także na życie pozostałych członków mojej najbliższej rodziny, że zrobimy wszystko, co jest w naszej mocy, żeby twój brat został wyleczony.

Gdy skończył, przyklęknął i podniósł zawleczkę z granitowej płyty.

- Skończmy to przedstawienie, zanim ktoś nas zauważy - powiedział podając kawałek metalu Norbertowi.

Lis dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest przemoknięty. Nawet w butach czuł chlupoczącą wodę. Patrzył na bliźniaków, którzy ujęli pod łokcie dziewczynę w żółtej pelerynie, na przemoczonego Lewińskiego, na nagle wyrosłego obok niego Hyde'a, kryjącego się cały czas pod parasolem, jakby to była scena z filmu.

- Mundek, jedziesz ze mną, będziesz mi potrzebny, doktor Okrasa zamieni się z tobą miejscem. - Adam nie czekając na potwierdzenie ruszył w kierunku narożnika, za którym zniknęli ochroniarze.

- Ten deszcz, mrok, faceci w garniturkach - sapnął Młody, który pojawił się nie wiadomo skąd. - Scena jak z finału pieprzonego „Matrixa”, nie?

- O co chodzi z tym bratem? - zapytał Lis, ledwie ruszyli. - O co w ogóle w tym chodzi?

- Nie mówiłem ci, wiem, przepraszam - odparł Adam wycierając rącznikiem głowę. - Nie byłem pewien, czy jestem na właściwym tropie. Po programie o „aniołach stróżach” dostałem sporo ciekawych informacji, które świadczyły albo o Boskiej interwencji, albo o istnieniu jednoroźca.

Milcząca do tej pory Sabina spojrzała na niego z wyraźnym zdziwieniem.

- Tak, moja droga - Lewiński uśmiechnął się - jeśli się nie mylę, jesteś tak samo rzadkim i cudownym zjawiskiem jak rzeczony jednorożec. W każdym razie sprawdzając doniesienia z terenu zyskałem pewność, że to nie dzieło przypadku. Poszukiwania trwały długo, ale pamiętając o zdolnościach Sabiny zdawałem sobie sprawę, że mogą trwać latami. Pomógł mi przypadek. Oficer ABW nadzorujący jeden ze szpitali zameldował, że na oddział onkologiczny trafił chłopczyk odpowiadający rozeslanemu przez nas rysopisowi. Przeprowadziła go dziewczyna, która wprawdzie nie pasowała do opisu, nie zgadzała się ani waga, ani kolor włosów, ale to jak wiadomo dość łatwo da się zmienić, jeśli wiesz, że ktoś cię szuka. Po bliższym przyjrzeniu się zapisom z kamer przemysłowych zyskałem pewność, że to jednak jednorożec. Zajęliśmy się chłopcem... Zabraliśmy go ze szpitala, a Sabinie zostawiłem informację, gdzie mnie znajdzie.

- A dlaczego nie zdjęliście jej w szpitalu?

- Przy tych wszystkich świadkach? - Lewiński naprawdę był rozbawiony. - Może jeszcze telewizję powinniśmy zaprosić.

- Zaraz, to się kupy nie trzyma - zaproponował Lis. - Jeśli naprawdę jesteś prekognitką, powinnaś wiedzieć, czym się skończy oddanie brata do szpitala.

- Pozwoliłbyś umrzeć jedynej osobie, którą kochasz? - odpowiedziała ponuro Sabina.

Lis spojrzał jej prosto w oczy. Cały czas próbował przebić się przez chaos panujący w jej głowie. Wyseparował z wiru wizji wiele osobistych myśli. Mimo to nadal nie wiedział prawie nic o jej przeszłości.

Jednego był w tej chwili pewien, kochała brata naprawdę mocno.

- Prawdę mówiąc, Edmundzie, nasz jednorożec znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Z jednej strony mógł zachować wolność, ale musiałby poświęcić życie jedynej istoty, którą kochał. Z drugiej ocalenie Piotrusia oznaczało... - Adam chciał powiedzieć: pracę dla nas, ale wybrał bardziej dyplomatyczne określenie - poświęcenie się wolności.

- Proszę mnie tak nie nazywać, nie jestem przedmiotem ani zwierzęciem. Mam imię i nazwisko - poprosiła dziewczyna słysząc po raz kolejny kryptonim, jaki jej nadano.

- Oczywiście, przepraszam, Sabinko. Nie chciałem cię urazić. To taki nasz żargon.

- Wiem - odparła.

- Chciałbym cię o coś zapytać - powiedział Lewiński zmieniając temat. - Dar, który posiadasz, pozwala ci widzieć przyszłość, prawda?

-Tak.

- Chciałbym, żebyś się skupiła na moment, Sabinko. To bardzo ważne. Zadam ci kilka pytań dotyczących tej zdolności. Postaraj się odpowiadać możliwie jak najprościej i najdokładniej.

- Dobrze - dziewczyna spojrzała na Lisa, jakby wiedziała, że wycierający włosy telepata skupiał się teraz na odbiorze jej myśli.

- Czy te wizje mają jakąś regularność?

- Nie rozumiem.

- Chodzi mi o to, jak widzisz przyszłość. Czy są to wyrwane z kontekstu obrazy, czy raczej... szerszy ogląd sytuacji? Czy możesz je wywołać, czy same przychodzą?

Dziewczyna nie odpowiedziała od razu. Mundek pomimo chaosu nadal panującego w jej głowie poznał odpowiedź, zanim została zwerbalizowana.

- Nie mam nad tym kontroli. Czasem coś widzę, czasem nie. To przychodzi nagle, bez ostrzeżenia. Czasem to pojedynczy obraz, czasem dłuższa scena. I zawsze dotyczy miejsca, w którym akurat jestem.

To nie było dokładnie to samo, co odebrał chwilę wcześniej Lis. Dziewczyna najwyraźniej nie chciał wyjawiać całej prawdy. Nie dziwił się. Sam ukrywał swój dar jak mógł najdłużej.

- Prosiłem, Sabinko - powiedział Lewiński - żebyś postarała się odpowiadać naprawdę szczegółowo, od tego zależy...

Przerwał widząc, jak twarz jej szarzeje. Mundek nie mógł tego widzieć, ale wizja, jaką odebrał w tej samej chwili, zmusiła go do odwrotu. Umysł prekognitki

zamienił się w tygiel milionów obrazów zmieniających się tak szybko, że powodowały niemal fizyczny ból.

- Zaufałam ci - powiedziała dziewczyna nieco podniesionym głosem, w którym dało się wyczuć zdenerwowanie. - Teraz ty mi zaufaj. Każ mu zwolnić - wskazała na kierującego samochodem Norberta.

- Słucham? - Lewiński wydawał się wyraźnie zaskoczony jej zachowaniem.

- Każ mu zwolnić! - krzyknęła Sabina.

- Dla... - Adam nadal nie rozumiał, do czego prekognitką zmierza. A może wyczuwał jakiś podstęp.

- Norbi, zwolnij trochę... Golec zareagował natychmiast.

- Jeszcze! - zawołała dziewczyna.

- Dlaczego?

- Zwolnij! - ryknęła Sabina tak przeraźliwie, że Golec zareagował, mimo iż Adam nie wydał mu polecenia.

Ruch na dwupasmówce nie był wielki. W polu widzenia mieli zaledwie dwa wozy osobowe i zdezelowanego jelicza z przyczepą wyladowaną po brzegi ziemniakami. Gwałtownie hamującym na śliskiej jezdni mercedesem zarzuciło w koleinie. Jadący za nim drugi wóz zespołu z trudem uniknął zderzenia, zjeżdżając na pas zieleni

- Co jest, do kur... - Lewińskim, mimo zapiętych pasów, rzuciło jak kukłą. Lis nie był zapięty, poleciał na przednie siedzenie uderzając się boleśnie obojczykiem o zagłówek.

Nie widzieli tego dokładnie, ale przyczepa jelicza zatańczyła po jezdni pociągając cały zestaw najpierw na pobocze, potem w drugą stronę. Kierowca stracił panowanie nad wozem i dwudziestotonowa ciężarówka sunęła przez sekundę bokiem do kierunku jazdy, a potem przewróciła się jak na zwolnionym filmie. Przyczepa wypięła się i wjechała do rowu.

- Jeżu malusieńki... - wymamrotał Golec zatrzymując samochód kilka metrów od chmury pyłu, w której zniknął dachujący jelicz.

Sabina pochyliła się do wciąż oszołomionego Lewińskiego.

- Nie zapomnij, że jesteś mi winny także swoje życie... - szepnęła na tyle głośno, że musiał usłyszeć.

Słońce, leżaczek na plaży, zimne piwo w dłoni. Od kilku tygodni Lis rozkoszował się urokami mazurskiego ustronia. Lewiński skupił się na pracy z Sabiną do tego stopnia, że odwołał wszystkie akcje. Czekali tylko na zlecenia ze strony Komitetu. A tych jak na złość, a może na szczęście nie było. Choć trudno w to uwierzyć, politycy, zupełnie jak ludzie, też mieli wakacje.

- Nie przeszkadzam?

Lis aż podskoczył na dźwięk głosu, który rozbrzmiał mu obok ucha, omal nie rozlewając przy tym piwa.

- Sabina? - zdziwił się podnosząc rondo słomkowego kapelusza. - Co ty tu robisz? Myślałem, że...

Dziewczyna zdjęła chodaki, położyła ręcznik na deskach obok leżaka Mundka i przysiadła na skraju mola.

- Doktorek pojechał do Warszawy. Wróci dopiero wieczorem.

- Temu to dobrze. A jak tam Piotruś?

- Wczoraj odleciał do prywatnej kliniki w Szwajcarii. Wszystko zostało opłacone z góry. Za tydzień przejdzie operację przeszczepienia szpiku. Teraz wszystko w rękach Boga.

- Zobacysz, będzie dobrze.

- Widziałeś „Łśnienie”? - zapytała ni z gruszki, ni z pietruszki Sabina.

- Nie widziałem - odparł zdziwiony zmianą tematu Lis.

- Ale książkę czytałeś chyba?

Telepata ułożył się ponownie na leżaku i opuścił kapelusz kryjąc oczy w cieniu. Oczekiwał ciągu dalszego, ale Sabina milczała. Zdziwiło go to, tak jak pytanie o jego było nie było ulubioną książkę. Dlatego ostrożnie zapuścił się w jej umysł, choć Adam wyraźnie zabronił mu to robić poza sesjami. Tam czekało na niego kolejne zdziwienie. Ogromny wir wizji, jakie zapamiętał z poprzednich wizyt, był ledwie wyczuwalny. W mglistej białej pustce widział za to dwa wyraźne słowa.

Jakby napisane na tablicy.

- Odbierasz mnie?

Były skierowane do niego. Z pewnością.

- Tak - powiedział na głos.

- Nie mów, *łsnij* - napis płynnie zmienił się w następny.

- Powoli...

- W czym problem?

- Jeszcze nigdy w taki sposób nie rozmawiałem.

- Przecież jesteś telepata.

- Jedyńm w tym gronie.

- Nie rozumiem.

- Nikt nie widział moich myśli... - z trudem formował swoje odpowiedzi. - Odbierałem obrazy, wizje... Nikt nie odbierał mnie.

- OK. To będę się streszczać.

- Dlaczego... *łsnimy*? - uległ jej w końcu.

- Prawdopodobnie jesteście podsłuchiwani.

- O czym ty mówisz?

Zamiast pisemnej odpowiedzi zobaczył obraz. Niewielkie pomieszczenie pełne monitorów, jakiejś aparatury. Dwóch żołnierzy obsługujących terminale. Skupił się na obrazie przekazywanym przez kamery. Zobaczył znajome wnętrza, twarze. Młodego, który obzerał się chipsami i czytał komiksy. Siedzącego na sedesie w rodinowskiej pozie doktora Jekylla. Grających w karty z wartownikami Golców. Na największym monitorze Lewiński i lekarze stali skupieni wokół stołu, na którym spoczywało nagie ciało dziewczyny. Sabiny, rzecz jasna.

- Co to jest?

- Wizja.

- Przyszłość?

- Teraz już nie.
- Kurwa mać...
- Też kobieta.
- Przepraszam - zmytygował się telepata. - To nie może być prawda.
- Jest.
- Sprawdzalem umysly straznikow.
- Oni o niczym nie wiedza.
- To jakaś paranoja... jak nie oni, to kto?
- Kto będzie pilnował strażników...
- A, chyba że tak...

Lis się wycofał. Pociągnął spory łyk piwa. Komitet płacił, ale i wymagał. I zabezpieczał się na wszystkie strony. Ciekawe, czy Lewiński o tym wiedział... Wszedł w Sabinę raz jeszcze.

- Doktor o tym wie?
- Nie mam pojęcia - odparła natychmiast.
- Szlag... - wizja Okrasy rozmyślającego na kibelku może i była zabawna, ale oznaczała, że są totalnie inwigilowani.
- Inwigilacja to mniej istotna sprawa.
- A co jest istotne?
- Plany Lewińskiego.
- Jakie plany?

Znowu wizja. Dom, przeciętny sześcian, jakich tysiące powstawało przed laty na przedmieściach i wsiach. Za domem niewielki zaniedbany ogród, w nim altana. Dym. Jakby się coś paliło. Mundek poczuł woń palącego się mięsa. Jacyś ludzie wbiegają do środka. Krzyki. Kobieta obok mdleje. Lis zagląda do wnętrza altany. Na podłodze leży martwy mężczyzna. Twarz wykrzywiona w grymasie przerażenia albo bólu. Flanelowa koszula, spodnie robocze. Dość czyste. Tylko jedno psuje ten obraz. Noga od połowy łydki niemal do pachwiny spalona na węgiel. Ale kilka centymetrów dalej materiał spodni jest czysty, nawet nie osmalony. Podobnie drewniana podłoga wokół ciała. Deski pod nogą wyglądają jak resztki z polan ogniska, sąsiednich ogień nie tknął w ogóle.

- Spontaniczne samozapalenie - mruknął Lis.
- On chce ten proces kontrolować.
- Jak?
- Tego nie wiem - odparła.
- Nikt tego nie wie... Nawet ci, którzy posiadają taką moc.
- Dokładnie - uśmiechnął się mimowolnie Lis. - Zwłaszcza oni...
- Odkrywając swój dar, umierają - przytaknęła.
- Dlatego Adam chce użyć prekognicji.
- Tak, mam zlokalizować to wydarzenie - przyznała.
- A my go przejmujemy, zanim to się stanie. - I poznamy naturę zjawiska.
- Zupełnie jak w „Podpalacze”.
- W czym? - zdziwiła się Sabina.
- Stephen King. Powieść, film.
- „Firestarter”?
- Chyba tak.
- Ta wizja, którą widziałeś...
- Tak?

- To stanie się jutro
- Kaszka z mlekiem.
- Nie rozumiesz.
- A czego tu można nie zrozumieć?
- Zastanów się, po co Adamowi firestarter?
- A po co jednorożec? Telepata?
- To co innego.
- Niby dlaczego?
- Nasze dary nie służą do niszczenia... - Dziewczyna chyba się zdenerwowała. Zauważył, że w napisie zabrakło jednej litery. - Przynajmniej bezpośrednio.
- No, fakt... Ale to jeszcze o niczym nie świadczy.
- Obyś się nie mylił.
- Co masz na myśli?
- Nie odpowiedziała.
- Jeśli masz jakieś podejrzenia...
- Wiesz, dlaczego z tobą rozmawiam?
- Nie.
- Bo... jesteś inny.
- Co znaczy: inny?
- Inny niż Lewiński.
- Dlaczego tak uważasz?
- W samochodzie... Wiedziałeś, że sklamalam.
- Kiedy?
- Tuż przed wypadkiem.
- Noo...
- Ale mnie nie wydałeś.
- Tego nie wiesz...
- Wiem
- Skąd? Nie jesteś telepatką.
- Widziałam przyszłość.
- No tak...
- I to też dobrze świadczy o tobie.
- Skoro tak mówisz:-) - dodał do swojego napisu smileya. Jak na czacie.
- Potrafię widzieć to, co chcę.
- Wiem.
- Potrafię widzieć wtedy, kiedy chcę.
- Mów dalej.
- Nie.
- Dlaczego?
- Sam zobacz...

Biel zniknęła w ułamku sekundy, jak zdmuchnięta. Stał w mrocznym, wąskim korytarzu za plecami trzech mężczyzn. Czuć było stęchlizną i potem. Musiał przywyknąć do braku światła, zupełnie jak w realu. Trwało to moment. Sylwetki dwóch wyższych wydały mu się znajome mimo ciemności. Tak, to bliźniacy, ale kim był ten trzeci? Mundek nie kojarzył faceta, chociaż... dalby sobie rękę uciąć, że kiedyś już go widział. Szedł za całą trójką do zalomu, potem po schodach na półpiętro. Tutaj Golce zostali z tyłu, a nieznanemu podszedł do okna i otworzył je na całą szerokość. Usiadł na parapecie i założył okulary przeciwsłoneczne. Ułożył plakietkę identyfikacyjną oficera UOP-u zawieszoną na pomarańczowej smyczy tak, by była jak najlepiej widoczna na tle czarnego półgolfu. Z pewnością w tej chwili był sprawdzany przez jakiegoś agenta z lornetką albo nawet snajpera.

Lis wyjrzał na zatłoczoną ulicę. Nie wiedział, jakie to miasto, nie widział żadnego charakterystycznego budynku, pomnika. Ale jedno było pewne, to Polska. Musiało być jakieś święto. Wzdłuż jezdni ustawiły się szpalery ludzi, co kilka metrów stali policjanci. W tłumie i na ścianach roilo się od flag. Usłyszał dźwięk policyjnego koguta. Pod oknem, środkiem ulicy przemknął radiowóz. W oddali zobaczył kawalkadę limuzyn. Zbliżały się powoli, otoczone kordonem motocyklistów. Lis spojrzał na faceta w oknie. Ten siedział z założonymi rękami, jak setki widzów wokół, w oknach, na balkonach. Tylko że oni nie mieli zaciśniętych kurczowo szczęk, nabiegłych krwią oczu i pulsujących żył na skroniach. Lis znów spojrzał na ulicę. Jadące na czele kolumny czarne opancerzone bmw zbliżyło się na kilkanaście metrów do bramy, w której stali. Nagle wóz eksplodował. Nie było strzału, rzuconego granatu. Obraz zwolnił w tym momencie, jak gdyby zadziałała adrenalina, jakby to sam Mundek brał udział w wypadku; widział wszystko wyraźnie. Samochód przysiadł, pancerne szyby i dach zdawały się opierać fali uderzeniowej wybuchu przez ułamki sekund, wyginając się i pęczniąc. A potem miejsce po miejscu z wnętrza zaczęły wydobywać się płomienie. Z okien, spod maski. Korek wlewu paliwa wystrzelił jak pocisk prosto w oniemiały tłum. Za nim trysnął strumień płonącego paliwa. W tym czasie cały samochód zamienił się w kulę ognia. Parzący podmuch dotarł nawet do korytarza, w którym stali Golcowie. Facet z okna uśmiechnął się i wtedy Lis przypomniał sobie, gdzie go wcześniej widział...

- *I jak?* - zapytała napisem Sabina, gdy obraz zniknął

- *Kto to był?* - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- *Firestarter Adama. Niejaki Kowalczyk.*

- *Pytałem o Cel.*

- *Nowo wybrany prezydent.*

- *Kurwa mać...* - zaklął, ale dziewczyna tym razem nie zareagowała.

- *Musimy go powstrzymać* - powiedziała po chwili.

- *Jak?*

- *Nie wiem... ale musimy coś zrobić.*

Mundek rozważał kolejne pomysły. W końcu wydało mu się, że ma odpowiednie rozwiązanie.

- *Nie możesz mi powiedzieć o tym firestarterze.*

- *Za późno.*

- *Co znaczy: za późno?* - zdziwił się Mundek.

- *Wizja przyszła po tym, jak mi powiedziałam... Tak to działa, przecież wiesz.*

Nie odpowiedział. Wyszedł z Sabiny i sięgnął po piwo. Wlał w gardło potężny łyk i natychmiast wszystko wypluł. Nektar bogów za długo stał na słońcu. Był ciepły jak mocz niemowlaka. I tak też smakował.

Fasada domu wyglądała dokładnie jak w wizji Sabiny. Tyle że teraz było jeszcze ciemno. Słońce

dopiero wstawalo, gdy Norbert zatrzymał jecpa na skraju zagajnika, kilkadziesiąt metrów od posesji Kowalczyków.

Lewiński był bardzo pobudzony, mimo tak wczesnej pory. Przygryzał nerwowo górną wargę i pocierał kciukami o palce wskazujące. Lis nie dziwił się takiemu zachowaniu szefa. Adam po latach niepowodzeń wreszcie zaczynał odnosić sukcesy. Jednorożec przyniósł mu szczęście - przynajmniej tak mógł teraz myśleć.

- Chłopaki z Komitetu muszą być wniebowzięci - powiedział Mundek, gdy się zatrzymali. On też trzymał się swojego planu. Sprawdzał.

- Chłopaki z Komitetu jeszcze nie wiedzą - odpowiedział Adam nie patrząc nawet w jego stronę. Przyglądał się zabudowaniom.

- Nie pochwalileś się takim sukcesem?

- Na wszystko przyjdzie pora - odparł sentencjonalnie Lewiński, nie przerywając obserwacji. - Która godzina?

- Za kwadrans piąta - powiedział Golec.

- Czwarła czterdzieści pięć... - Lis uśmiechnął się do swoich myśli. - O tej godzinie Niemcy zaatakowali Polskę rozpoczynając Drugą Wojnę Światową.

- Mylisz się, Mulder - Młody poprawił go, zanim przelknął ostatni kęs kanapki. - Kwadrans wcześniej zaczęli bombardować Wieluń, a może Walcz. Podręczniki kłamią, a szkoła zasysa.

- Tak, wiem - odciał się Lis. - A Westerplatte trzymało się, bo Dąbrowski zamknął Sucharskiego w bunkrze. W kółko to powtarzasz.

- Bo to prawda. - Młody oblizal się i sięgnął po kolejną kanapkę. - Historia jest, panie roztelepany, wciąż zakłamywana.

- Zamknijcie się wreszcie! - Adam oderwał wzrok od okna i spojrzał na zegarek. - Za sześć minut wchodzimy. Wszyscy wiedzą, co do nich należy?

Potwierdzili skinieniami głowy. Lis wyjął z torby spore nożyce do metalu.

- Zostaw te kalorie - rzucił narzędzie na kolana Młodego. - Jest robota do zrobienia.

- Ty miałeś ciąć siatkę - zdziwił się bioenergoterapeuta.

- Właśnie - do chóru zdziwionych głosów dołączył Lewiński. - O co ci chodzi?

- Zwichnąłem wczoraj nadgarstek. - Mundek pokazał obwiązaną bandażem elastycznym rękę. - A parówkarzowi przyda się trochę ruchu.

- Hej! - Młody wyraźnie nie miał ochoty na wysilek.

- Żadne hej, biegiem - uciał dyskusję Lewiński. Konieczny spojrzał bykiem na telepatę, schował do

kieszeni kanapkę i podniósł z kolan nożyce. Z trudem wygramolił się z wnętrza samochodu. Pochylony ruszył truchtem w kierunku porośniętego winoroślą ogrodu. Wyglądało to co najmniej komicznie. Jakby wieloryb po wyrzuceniu na brzeg usiłował ukryć się w trawie. Na dodatek w połowie drogi zaczął gubić kanapki poupychane w zbyt płytkich kieszeniach kurtki.

- Mundek, pomóż temu pajacowi... - Lewiński wyprzedził o sekundę propozycję Lisa.

- Jasne! - Telepata szybko wyskoczył z wozu, zatrzasnął za sobą drzwi i nie oglądając się pobiegł za Młodym.

Gdyby nawet Lewiński miał sokoli wzrok albo łomkę, nie mógł zauważyć niewielkiego przedmiotu, który Lis ścisnął w dłoni. Nie mógł też widzieć, jak bezgłośnie odlicza sekundy. Gdy doszedł do dziewięciu, skoczył. Nie zdażył upaść. Fala uderzeniowa wybuchu cisnęła nim o płot. Zawlecza wyleciała mu z dłoni. Bolało jak szlag, ale na szczęście nie dostał żadnym z odłamków. Sekundę później drugi wybuch podrzucił płonący wrak samochodu w górę. To eksplodował pełen bak paliwa.

Konieczny leżał o dwa kroki dalej, dostał odłamkiem metalu w głowę. Jeszcze oddychał, ale kałuża krwi, w której leżał, była już całkiem spora. Świadomość bioenergoterapeuty powoli gasła. To było dziwne, wręcz przerażające uczucie, jakby umysł Młodego zapadał się sam w siebie. Lis poczuł zimny dreszcz na plecach. Po raz pierwszy odczytywał ostanie myśli konającego człowieka.

- Szlag by to... - Mundek nie mógł mu pomóc. A gdyby nawet mógł, miał teraz na głowie większy problem.

Drzwi drugiego jeepa otworzyły się i wypadł z nich Robert. Miał w ręku pistolet. Pędził w kierunku wraku, rozglądając się na wszystkie strony. Nie powinien niczego podejrzewać. To dlatego Mundek nie krył się do ostatniej chwili. Zależało mu na tym, by drugi z ochroniarzy nie skojarzył wybuchu z jego osobą. Nie miał broni, a nawet gdyby ją miał, na otwartym terenie nie uciekłyby przed doskonale wyszkoloną maszyną do zabijania. Dlatego biegł z powrotem do wraku, jakby nie miał z tą eksplozją nic wspólnego.

Golec już był przy płonącej stercie złomu. Zniknął za strzelającymi w niebo płomieniami, chyba zupełnie irracjonalnie próbował jeszcze ratować brata. Mundek się zatrzymał. Nawet tutaj, kilka metrów od ognia żar był trudny do wytrzymania. Spojrzał w stronę Młodego, ale ten się nie ruszał. Stracił już przytomność, nie zostało mu wiele czasu. W każdym razie nie komplikował rozgrywki. Lis rzucił okiem na dom, ale w żadnym oknie nie zapaliło się jeszcze światło.

Telepata sprawdził, co robi reszta załogi drugiego wozu. Sabina stała wciąż przy otwartych drzwiach samochodu. Doktor Okrasa biegł, o ile można to było nazwać biegiem, w kierunku wraku. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Tylko ten ból, który przeszył nagle ramię, a chwilę później brzuch. Lis odwrócił się do wraku w samą porę, by zobaczyć barczystą sylwetkę w pozycji strzeleckiej.

Golec się zorientował?! - taka myśl przemknęła mu przez głowę, gdy osuwał się na ziemię. - Ale jak?

Upadł na plecy. Choć z przerażeniem odkrył, że nie mógł poruszyć żadną częścią ciała, to zachował pełną świadomość. Widział, jak podbiega do niego Okrasa, jak pochyła się, jak kładzie obok torbę. Nie wiedział,

gdzie dokładnie trafiła go kula. Ciepła krew, która chlapnęła mu na twarz, z pewnością należała do kogoś innego. A jedyną osobą w pobliżu był stary doktor Jekyll, toaletowy rodinowski myśliciel.

- Ty skurwielu! - Lis usłyszał te słowa, jakby dobiegały z wielkiej odległości. Nie poczuł też kopnięcia, które przesunęło jego bezwładne ciało. Nie widział twarzy Norberta. Widział tylko jego rozmazaną sylwetkę. Oprawca kopnął go raz jeszcze, po tym chyba przyklęknął.

- Nieć... rozuu... miesz - wyszeptał Mundek wkładając w te dwa słowa wszystkie siły, gdy zobaczył nad sobą dziwnie zniekształconą, ale wciąż znajomą twarz.

- Mylisz się, śmieciu, doskonale rozumiem - wychrypiał ochroniarz. - Ona mi wszystko wytłumaczyła.

To mówiąc Golec przyłożył chłodną lufę swojego wypieszczonego HK do czoła Mundka.

- Do zobaczenia w pie... - tyle zdażył powiedzieć, zanim nagle zniknął z pola widzenia Lisa. Kolejna struga cieplej krwi zalala twarz i oczy telepaty. Wszystko zrobiło się czerwone. Ale nadal widział chmury, drzewa...

Umarłem... - pomyślał Lis. - Ale dlaczego wszystko ma kolor krwi, dlaczego nie widzą jasności?

Z coraz większym trudem kojarzył, dlatego dopiero teraz dotarł do niego sens wypowiedzianych przed chwilą słów. Ona wszystko wytłumaczyła? Kto? Sabina?

Znów ktoś nad nim stanął. Nie widział już jednak kto, to był tylko niewyraźny cień. Mundek chciał coś powiedzieć, ale z zalewanych krwią ust wydobyło się jedynie chrypienie. I bombelki krwawej piany.

- Sabina? - spróbował odszukać jej jaźń. - Sabina!

- Jestem tutaj - odpowiedź przyszła szybko.

- Co... poszło... nie tak?

- Nic. Wszystko poszło zgodnie z planem.

- Przecież... ja umieram...

- Bo tak miało być.

- Ale... dlaczego?

Wir obrazów tak charakterystyczny dla umysłu prekognitki wdarł się do jego świadomości. Tym razem porozumiewała się z nim zupełnie inaczej. Nadawała. Nie jakieś tam napisy, ale normalnie w pełnym paśmie.

Była telepatką.

Naprawdę dobrą telepatką.

- Nie jestem tym, za kogo mnie masz. Twój szef zaczął tworzyć zespół Esperów, tak u nas, w ISB nazywamy ludzi posiadających zdolności ponadnaturalne. Zorientowaliśmy się, że nad tym pracujecie, w momencie gdy zostałeś wprowadzony przez jednego z członków Komitetu na obrady komisji międzyrządowej w marcu. Pamiętasz?

Nie pamiętał, więc mu to przypomniała. Rosyjsko--polskie obrady na temat współpracy gospodarczej. Nic nie znaczący epizod. Miał sprawdzić intencję negocjatorów, co też uczynił. I kontrakty na kilkaset milionów dolarów szlag trafił...

- Z naszej strony rozmowy nadzorował mój ojciec. Wspaniały człowiek i wielki telepata. Nie byłeś w stanie wykryć jego obecności w swoim umyśle. A on czytał w tobie, jak w otwartej księdze. Dowiedział się, że zaczynacie korzystać z esperów, jak my. To było zbyt wielkie zagrożenie. Nie mogliśmy pozwolić na utratę strategicznej przewagi. Przywrócenie kontroli nad dawnymi strefami naszych wpływów potrwa jeszcze parę ładnych lat. Dlatego podjęliśmy odpowiednie kroki.

- O czym... ty mówisz...

- Najpierw chcieliśmy załatwić sprawę przez waszych mocodawców, ale okazali się już uodpornieni na telepatię. Ten wasz Lewiński był niezły. Metoda zabezpieczenia przed odczytem myśli jest naprawdę nowatorska i bardzo skuteczna. Zyskalibyście ogromną przewagę, gdyby udało mu się zrealizować plany zabezpieczenia całego rządu. Na szczęście ludzie z Komitetu za bardzo się bali ujawnienia sekretu i utraty strefy wpływów. I dlatego szlag ją trafił za parę godzin razem z ośrodkiem.

- Nie.. rozumiem... jesteś przecież preko...

- Nie ma prekognitów, głupcze. To wszystko była pod- pucha. Od początku do końca. Cuda, wizje, ten pusty dom na odludziu. Nawet granat, jak widzisz nieprzypadkowo znalazł się wtedy w mojej ręce.

- Przecież...

- Co: przecież? Nadal nie rozumiesz? Wszystkie te cudowne ocalenia były ukartowane. Wiedzieliśmy, że Lewiński szuka, jak to poetycko ujęliście, jednorożca. Jego wielkim błędem było pozostawienie części ludzi z zespołu bez blokady. Kiedy biegaleś z grubasem po kasynach, skanowaliśmy wasze myśli wiele razy. Centrala uznała, że skoro tak wam zależy na prekognicje, to go dostaniecie. Nie wiesz nawet, jak łatwo można upozorować cudowne ocalenia. Zwłaszcza gdy pracują nad tym prawdziwi zawodowcy.

- Ale... wypadek...

- Kierowca ciężarówki miał proste zadanie, wykonać manewr skrętu w momencie, gdy wasz wóz zaczyna hamować. Nie wcześniej. Do tego nie trzeba być nawet

esperem. Gdybym nie zdążyła przekonać Lewińskiego, po prostu przejechałobyś obok niego.

- A...Pio...?

- Biedny dzieciak. Skanowałeś go wiele razy ale nie zauważyłeś jak go przerobiono. Jesteśmy w tym naprawdę dobrzy. Wyszukałam go na Śląsku. Matka alkoholiczka, ojciec w kiciu, jeden z trzynastorga rodzeństwa. Dobry wujek ze stolicy zaopiekował się chorym Piotrusiem. A potem poczekaliśmy aż choroba rozwinie się do tego stopnia, żeby legenda jednorożca wyglądała naprawdę dobrze. I wystawiłam się na strzał we Wrocławiu. Bingo.

- Ale ja., widziałem... w twoich...

- Widziałeś to, co chciałam, żebyś widział. Wiesz doskonale, jak trudno oddzielić prawdziwe myśli od fikcji, zwłaszcza gdy cel sam nie wie, co jest prawdą, a co urojeniem. Gdyby nie to, Komitet miałby już władzę absolutną. A i my mielibyśmy znacznie mniej roboty. Jesteś zdolnym telepatą Edmundzie, ale surowym jak diament, natomiast ja jestem brylantem najczystszej wody. Gdybyś miał szansę na otrzymanie takiego szlif, być może przerósłbyś mnie o głowę. Ale tak się nie stanie, twój los dopełni się dzisiaj, tutaj, na tej wsi. Przykro mi, że tak się to kończy, ale to nie osobistego... Tak musiało być. - przerwała na moment, wir jej myśli zniknął, ale zanim Mundek zdolał to zarejestrować ponownie załśniła. - Ty zlikwidowałaś zespół numer jeden. Robert był na tyle miły, że zatroszczył się o to, by nie było świadków tej awantury. A ja zatroszczyłam się w rewanżu o niego. W zasadzie powinnam mu pozwolić na dobitcie ciebie, ale... nie pozwoliłam. To i tak niczego już nie zmieni... Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem, religijnym. Tak, jak ja. Dlatego dam ci te kilka dodatkowych minut. To kompletne odludzie. Nikt tu nie będzie ci przeszkadzał, jeśli zechcesz pojednać się ze swoim Bogiem. Żegnaj kotku, muszę już lecieć.

Mglista biel zniknęła, niebo znów stało się czerwone od krwi zalewającej oczy Lisa. A potem czerwień powoli ciemniała, aż stała się absolutną czernią.

Robert J. Szmidt